



TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i za granicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biurow Redakcyi ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

PRZYJACIEL NOSOROŻCA



Przyjaciół nosorożca.

Gruboskórne zwierzęta mają także skrzydlatego przyjaciela, podobnie jak krokodyl nilowy. Bufaga afrykańska, *Buphaga erythrorhynca*, jest to ptak nie większy od naszego szpaka, o rdzawych piórkach i czerwonym dziobie, nadzwyczaj mocnym i ostrym. Ptak ten przebywa ciągle w sąsiedztwie zwierząt gruboskórych, szczególnie z nosorożcem pozostaje w stosunkach wielkiej przyjaźni i poufałości. Sadowi się na grzbiecie zwierza, ostry dziób zapuszcza mu pod skórę i wydobywa gnieźdzące się tam pasorzytne robactwo. Gdy wędrowiec zobaczy z daleka bufagę, uchodzi czempredziej w stronę przeciwną, gdyż jest to znak niechybny, że nosorożec znajduje się w pobliżu. Zwierz ten ma zawsze przy sobie straż z kilku lub kilkunastu podobnych ptaków, które go dziobią, krążą koło niego, wyprzedzając go lub goniąc, strzegą jego snu i przeciągłym krzykiem oznajmiają o niebezpieczeństwie. Pewien podróżnik, który polował na nosorożce w Afryce, upewnia, że wierna ta straż nie odstępowała zwierza, aż póki nie padnie pod ciosami myśliwców. „Ptaki sadowiły się na grzbiecie i bokach nosorożca, opowiada ów podróżnik, a gdy kula ugodziła olbrzyma, podlatywały w górę, krzycząc przeraźliwie i znów po chwili sadowiły

się na dawném miejscu. Nawet gdy już nosorożec padł niezwywy, one jeszcze go nie odstępowały i usiłowały go rozbuździć.

O listach i tłumaczeniach A. E. Odyńca.

p. Z. Morawską.

(Dalszy ciąg).

Obecnie dużo osób bierze się do tłumaczenia obcych utworów, dużo nawet osób bardzo młodzieńskich chwyta za pióro, nie wiedząc może, iż chcąc tłumaczyć z obcych języków, trzeba przedewszystkiém znać doskonale ojczysty język; lepiej i dokładniej zbadać jego wszelkie zwroty, aniżeli tego, z którego przyswajamy obce utwory. Prócz tego nie dosyć jest rozumieć wyrazy, lecz pojąć trzeba i myśl autora, przejąć się nią tak, jak gdyby się widziało miejsca i pojmoowało dokładnie osoby działające. Słowem, chcąc tłumaczyć poezye, trzeba być poetą, chcąc tłumaczyć powieść, trzeba, oprócz znajomości języka, posiadać zdolności autorskie, rzecz to jak widzimy nie łatwa. Odyńca dokonał tego po mistrzowsku, a czytając jego przekłady zdaje się prawie niepodobieństwem, żeby to było tłumaczenie; zapytujemy nieraz co piękniejsze, czy utwór oryginalny, czy też tłumaczenie zmarłego niedawno poety.

Prawdziwą też przysługę zrobił ojczystej mowie: przekładając arcydzieła literatury niemieckiej jak *Dziewica Orleańska* Schillera, z angielskiej rycerskie poemata Waltera Scota, *Pieśń ostatniego Minstrela* i *Dziewica Jeziora*, oraz pełny fantazyi utwór Tomasza Moora *Czyciele Ognia* i dramatyczne poezye Byrona, poetów z początku XIX-go stulecia. Niepodobna ze wszystkich tych tłumaczeń przytaczać wyjątków; ograniczymy się więc na niektórych, dających wyobrażenie o całości przekładu.

Oto np. obrazek z *Pieśni Ostatniego Minstrela*, której treścią jest śpiew ostatniego szkockiego barda, o przemożnym rodzie Bukleuch'ów z Bramksonu, wykonany w obec pochodzącej z rodu tego owdowiałej księżnej Monmouth i pań jej dworu. Opiewa on wyprawę rycerza Delorraine'a do grobowca słynnego czarnoksiężnika Michała Scota, odbytą na żądanie pani z Bramksonu, pragnącej posiadać czarodziejską księgę tam złożoną.

„Rycerzu! — rzekła lady, — tej nocy,
 „Trzeba mi twojej wiernej pomocy.
 „Weź najlepszego konia ze stajni,
 „I co najspieszniej, i co najtajniej,
 „Pędź do Melrozu; — gdzie, skąd, i poco,
 „Nie mów przed nikim; — lecz przed północą
 „Staniesz na miejscu. — Tam wiedzy czyjś,
 „Spytaj o mnicha świętej Maryi.
 „Pozdrów i powiedz, żem cię przysłała:
 „Że przyszła chwila, i że wam obu
 „Poruczam dzisiaj zdobyć skarb grobu.
 „Bo dziś wilija święta Michała.
 „Gwiazdy zamglone, lecz księżyc czysty; —
 „Czas wam i miejsce krzyż wskaże, krwisty.
 „Co ci mnich odda, strzeż i ukrywaj;
 „Wracaj, nie stawaj ani spoczywaj.
 „I czy to będzie pismo, czy księga,
 „Niech do niej oko twoje nie sięga;
 „Bo gdybyś zajrzał albo dochodził —
 „Lepiejby było byś się nie rodził”.

— „O! nie bój się lady! mój dzielny koń gniady,
 „Niech tylko się kopnie z kopyta,
 „Przy Boskiej pomocy, w Melrozie z północy,
 „Tu staniesz nim zorze zaświta.
 „I szukać daremnie, lepszego odemnie
 „Do spełnienia twojego rozkazu;

„Bo czytać nie umiem, pisma nie rozumiem,
 „Książki w ręku nie miałem ni razu”.

Rzekł, dopadł konia, wzmocnił się w łęku,
 Kopiję z giermka pochwycił ręku,
 Ścisnął ostrogą: — przez most zwodowy,
 Zagrział jak piorun tentent podkowy.
 Przez las, na prawo, szybkim zawrotém,
 Puścił się drogą nad Tewiotem;

Przebiegłszy przestrzeń oddzielającą go od opactwa Melrozu, rycerz Delorraine zapukał do bram klasztornych. Otworzył furty mnich sędziwy i poprowadził go przez korytarski opustoszałego gmachu do kościoła, gdzie należało odwalić kamień grobowy.

Z bijącym sercem natężając siłę,
 Ze wszech stron rycerz ciężką wzruszał bryłę,
 I krwawym oblał się potem;
 Dwakroć odpoczął: — lecz za trzecim razem,
 Głaz zasadzonem podjęty żelazem,
 Na bok odwalił z łoskotem. —
 O! wtenczas, chciałbym, żebyście tam byli!
 Bo czyż wam zdołam wystawić,
 Obraz tej chwili, gdy światło z mogiły
 Buchnęło łuną błyskawic;
 I w mgnieniu oka, jak blask meteoru,
 Oblało ołtarz i ściany,
 I kolumnadę krążganków i choru,
 I sklep w trójkąty łamany? —
 Z zbroi rycerza jak płomień wytrysnął,
 Jak śnieg zaiskrzyło pióro;
 Mnich prędko kaptur na oczy nacisnął,
 I w ziemię patrzył ponuro.

W całej postaci Mag leżał przed niemi,
 Jakby od wczoraj złożony do ziemi.
 Do pasa długa broda jego biała,
 Jak biały całun pierś mu okrywała;
 Sto lat przeżytych znać było z oblicza,
 Gdzie tchnęła jeszcze wielkość tajemnicza.
 Strój miał pielgrzymi bez żadnego znaku,
 I pas w złociste godła zodyaku;
 Srebrny krucyfiks trzymał w dłoni prawej,
 Pod lewą, grubą, żalobnej oprawy,
 Leżała księga na klamry zamknięta,
 A w nogach lampa płonęła zakłęta.
 Twarz była cicha i wypogodzona,
 Mnich wniósł, że dusza być musi zbawiona.

Nieraz na polach krwią ludzką okrytych,
 Delorraine koniem tratował zabitych,
 I nie czuł zgryzot ni strachu;
 Lecz go przejęły i strach i zgryzota,
 Widząc otwarty grób Michała Skotta,
 I blask ów nagły po gmachu.
 Krew skrzepła lodem, i stał jak przykuty.
 Mnich bił się w piersi, i akty pokuty
 Odmawiał głośno, żarliwie..

Wszak prawda, że czytając przytoczony wyżej opis, zdajemy się, że patrzymy na to wszystko, że czujemy przerażenie i grzężę męznego rycerza wobec nadprzyrodzonych zjawisk, które wytwarzać tak lubiła fantazyja ludzi owych wieków, że czystokroć zdało im się, że widzieli to co było jedynie tworem ich wyobraźni. A jakże pięknie potrafił nasz poeta obraz ten odtworzyć z angielskiego oryginału! Niemniej po mistrzowsku przyswaja on nam równie piękne i obrazowe utwory z *Dziewicy Jeziora*. Osnowę tego ostatniego poematu stanowią zapasy buntowniczych klanów ze stronnikami Jakóba Sztuarta. Król odbywa wycieczki wespół z przeciwnikami, których nieznany im, pod nazwiskiem Fitz Jakóba. W jednym z takich przeprowadzony przez wrogię sobie wodza klanu Alpinów męznego Rodryka, którego przypadkowo był gościem, znalazłszy się w pustej górskiej okolicy oddalonej od mieszkań ludzkich, powiada, że gorąco pragnie wodza Alpinów spotkać i stoczyć z nim walkę. Rodryk wtędy chcąc do

wiadczyć męztwa tego którego uważa za jednego z rycerzy aksoskich woła :

— „Miěj więc, co żądasz!” — świsnął — smug i skały,
 Jak jednemu długiem echem się ozwały.
 Jak w stadzie hasło strażniczego ptaka,
 Świst się powtórzył od krzaka do krzaka :
 I oto — z krzaków, z za skał, z nad jeziora,
 Wznoszą się dzidy, łuki, czapki, pióra ;
 Nizko, wysoko, na lewo, na prawo,
 Wyskoczył żołnierz ukryty pod trawą.
 Z nagich mchów drzewca jak gajem wyrosły,
 Z ciemnych drzew ostrza jak gwiazdy się wzniosły,
 Jak woda w trzcinie błysnęły orężę,
 I krzaki w zbrojne zmieniły się mężę.
 Z lśniącym puklerzem, z dobytym żelazem,
 Pięćset ich z ziemi powstało zarazem,
 Jakby na czarów zaklęcie tajemne,
 Wojsko się duchów zjawilo podziemne.
 Każdy gdzie powstał, tam stał nieruchomy,
 Aż nowe hasło da wódz niewidomy.
 Jak nad przepaścią wiszące skał bryły,
 Co je wiek strącił, lub gromy w dół zbiły,
 Chwiejąc się wiszą na wątłej podporze,
 Że lada wietrzył w głąb strącić je może :
 Tak ci, z gotowym orężem i krokiem
 By skoczyć — stoją w milczeniu głębokiem. —
 Z milczącą dumą, Gall wzrokiem płomiennym
 Wodził przez chwilę po tłumie wojennym ;
 Nagle brew zmarszczył, i ponure skronie
 Zwrócił na gościa : „Cóż teraz, Saksonie ?
 „To jest Klan-Alpin” — hufce wskazał gestem,
 „A wódz ich Rodryk — Saksonie! — ja jestem!” —

Sakson był mężny, i choć w nim krew cała,
 Wrzającym strumieniem do serca zbieżała,
 Nie zbladł, twarz zimną uzbroił odwagą,
 Wzrok groźby wzrokiem odtrącił z powagą,
 I z niezachwianą wyniosłością męża,
 Wsparł się o skałę i dobył oręża.
 „Przystąp! przystąpcie! jeden, czy tłumami!
 „Głaz ten wprzód pierzchnie, niżli ja przed wami.” —
 Patrzył nań Rodryk — a jego spojrzenie
 Zdradzało wewnętrzną część i podziwienie,
 I ową radość, co mężnych przenika.
 Gdy na godnego trafią przeciwnika,
 Poczekają chwilę — i ręką w dół skinął.
 Cały tłum zbrojnych jak zjawił się, zginął.
 Gdzie kto stał, wszyscy zniknęli zarazem,
 W trzcinie, we wrzosach, za drzewem, za głazem.
 Sterczące drzewa na mchu się pokładły,
 Iskrzące ostrza w gestwinę zapadły :
 Otchłań się, rzekłbyś, skroś ziemi otwarła,
 I płód swój zbrojny na nowo pożarła.
 Ostatni powiew, zlatując z Benledi,
 Kołysał pióra, chorągwie i pledy :
 Lecący za nim, już tylko powiewa
 Na trawy, liście, zarośle i drzewa.
 Ostatni promień, bijący od słońca,
 Lśnił w ostrzu mieczów i włócznic tysięcy :
 Drugi już tylko, niczym nie odbity,
 Świeci na szare mchy, piaski, granity.

Spojrzał Fitz-Jakób — i ledwo sam wierzył
 Że go ten widok na jawie uderzył :
 Tak był podobny sennemu widzeniu,
 I znikł z przed oczu, jak sen przy ocknieniu.
 Niepewnym wzrokiem myśli wodza pytał.
 I wódz myśl jego w tym wzroku wyczytał :
 „Nie bój się! — lecz nie! nie trzebać tej rady! —
 „Nie wątp, i nie miěj podejrzenia zdrady!
 „Jesteś mym gościem : przyrzekłem z swęj woli,
 „Być sam twym stróżem pod bród Kajlantoli ;
 „Nie sądz, że obcych przyzywałbym broni,

„Przeciwno jednéj i walecznéj dłoni.
 „Nie! choćbym walczył o zwrót wszystkich plonów,
 „Co kiedyś Gallom wydarł miecz Saksonów! —
 „Więc pójdźmy! — wskazać chciałem ci jedynie,
 „Na jak utomnéj wspierałeś się trzcinie,
 „Sądząc, że miecz swój mając za strażnika,
 „Przejsć możesz tędy bez glejtu Rodryka. —
 „Pójdźmy!” — i poszli. — Fitz-Jakób był śmiały,
 I jako rycerz, co żyje dla chwały,
 Umiał w potrzebie nie baczyć na życie ;
 Lecz nieraz serce zadrgało w nim skrycie,
 Gdy obok wodza szedł kwapioną nogą,
 Pustą na pozor i spokojną drogą,
 Lecz gdy po stronach, jak żądła węzowe,
 Czyhały miecze i włócznie gotowe
 Powstać i mścić się, byleby zamarzył
 Człowiek, którego, sam czuł, że zniewazył.
 Nieraz w bok rzucił oczyma bystrymi,
 By dojrzeć mężów przypadłych do ziemi ;
 Nieraz się zdało, że lada ruch trawy,
 Że się z niěj ludzkie podnoszą postawy ;
 Nieraz na lada lot ptaka pierzchliwy,
 Zabrzmiało w uszach brząknięcie cięciwy,
 Albo świst kani, krążącej w obłoku,
 Zdał się być hasłem zgubnego wyroku.
 I nie wprzód wolno odetchnął ze zgrozy,
 Aż leśne w tyle rzuciwszy wąwozy,
 Wyszli na czyste, szerokie równiny,
 Gdzie już nie było ni skał, ni gestwiny,
 Chwastów, ni krzaków, by się w nich zdradziecko
 Zakraść mógł zbrojny na czatę zbójceją.

(d. n.)

WAKACYE JADWINI!

przez Arę.

(Dokończenie).

Dnia 3 Sierpnia.

Dziś, droga Maniu, powiem ci o mojem osobistem gospodarstwie. W pierwszym liście donosiłam ci, że posiadam własną krowę Krasulę, lecz nie wiesz, ile to jeszcze rzeczy przybyło do tej Krasuli. Mama widząc, że z prawdziwym zamiłowaniem oddaję się gospodarstwu, podarowała mi po sztuce z każdego działu. Mam więc kurę, która niesie mi jaja, kaczkę, gęś, indyczkę, prosiatko i parę królików. Oprócz tego dostałam na własność ul i kwaterę o 4-h grządkach, na których są: ogórki, sałata, kartofle i włoszczyzna. Naumyślnie takie warzywa, które będą mogła zebrać, przed odjazdem na pensyą. Nie masz pojęcia jak byłam uszczęśliwiona z tych darów, cały dzień o nich myślałam, a w nocy... wyobraź sobie, śni mi się, że jestem na jakiejś zaczarowanej wyspie, otoczona swoją menażeryą, którą karmię, aż tu nagle przybiega wilk i już, już się chce na nią rzucić, gdy raptem nasz poczciwy Zagraj zaczyna szczekać i ja się budzę. Przecieram więc oczy i naprawdę widzę Zagraja, który wpadł do mego pokoju i widząc, że śpię, zaczął głośno oznajmiać swoją obecność. Z radością zerwałam się z łóżka, a poczciwy pies, w nagrodę za wybawienie mię z tak przykrego snu, dostał podwójne śniadanie. Od mojej kury mam już 20 jaj, jutro wysłę je na jarmark, prosiatko w oczach mi rośnie, co tydzień sprawiam mu kąpiel, która mu bardzo służy. Reszta inwentarza cieszy się zupełnym zdrowiem. Króliki mają młode, które mię najwięcej bawi, tak je oswoiłam, że jada z mojej ręki. Zapewne nie wiesz, że mój ojciec zaprowadził hodowlę królików, ażeby je tuczyć i sprzedawać. Jest to bardzo korzystne zajęcie. Co miesiąc przybywają młode, prędko więc można się doczekać dużej królikarni.

Posyłam do miasta, co niedziela, trochę warzywa, a ponieważ mam także dużą grządkę różnych kwiatów, robię więc

4-ry ładne bukiety, czego mię nauczyła mama i dwa z nich dają do kościoła, a dwa zbywam. Tym sposobem policzywszy jaja, kwiaty, warzywa i masło, oraz sery, które wyrabiam, mam już kilka rubli dochodu. Zbieram też różne zioła lekar- skie, pod kierownictwem mamy i takowe suszę na ogromnych stołach, mamy bowiem domową apteczkę. Oprócz tego po- większam swoje pensyonarskie zielniki. Zbieram jednak, nie- tylko same kwiaty, ale i korzenie, te ostatnie trzymam w oso- bném pudełeczku; do każdego z nich przyklejam kartkę z nu- merem, odpowiadającym numerowi zasuszonego kwiatu, przy którym zapisuję nazwę, główne cechy rodzajowe i ga- tunkowe, rodzinę do jakiej należy, miesiąc w którym kwitnie i miejscowość w jakiej rośnie. Później będę zbierać ich na- siona odpowiednie korzeniom. Już mam przeszło 100 okazów. Nie mniej od tego wszystkiego zajmują mię pszczoły. Ul mam przesliczny, pomalowany kolorowo, z okienkami, jak domek. W przeszłym tygodniu podbieraliśmy miód. Zbiór był bardzo obfity.

A teraz bywaj zdrowa, droga Maniu.

Całuję cię serdecznie

Jadwiga.

Dnia 10 Sierpnia.

Wyobraź sobie, występowałam na koncercie. Nie masz pojęcia, z jakim biciem serca, siadałam do fortepianu, drża- łam jak w febrze. Gdy przyszła na mnie kolej miałam ocho- chę nibyto zachorować, tak zbrakło mi odwagi. Lecz ja się rozpisuję o osobistych wrażeniach, a nic ci nie mówię o sa- mym koncercie. Otóż urządzili go pp. M., najbliżsi nasi są- siedzi. Mają oni ogromny stary pałac, w jednej więc ze wspa- niałych jego sal, odbył się ów koncert, wykonany przez 6 osób, do których i ja należałam. Sama pani M. śpiewała bardzo ładnie wyjątek z Halki, inni deklamowali i grali, ja zaś odegrałam mazurek Szopena, za który otrzymałam żywe oklaski. Koncert urządzony był, na uczczenie ojca pani M., ogromnego wielbiciela muzyki.

Miałam na sobie różową kretonową sukienkę, ubieraną białymi koronkami własnej roboty. Koncert zaczął się o 6-tój wieczorem a trwał do 8^{1/2}. Następnie starsi zasiedli na ka- napach, a młodszy zaczęli tańczyć. Po wieczery rozproszyliśmy się po ogrodzie, który jest przesliczny. Pełno w nim cieni- stych alej, uroczych altanek, kwiatowych dywanów, klombów, nie brak nawet na końcu ogrodu ogromnego, jak szkło przejr-zystego jeziora. Na jeziorze tym jest kilka łódek, które za- jęliśmy w oka mgnieniu. Widok był przesliczny. Wyobraź sobie na ogromnym obszarze wody, podobnym raczej do lu- strzanéj szyby, odbijającéj bladawe światło księżycy, kilka łódek, przesuujących się zwolna, niby zakłète jakieś zjawis-ka. Ponieważ prawie wszystkie byłyśmy w jasnych sukniach, solenizant więc nazwał nas zaczarowanemi ondynamami. Gdy wypłynęliśmy na środek odśpiewaliśmy chórem tę cudną pieśń; „Płyn rybaku!” która w czarowny sposób rozlegała się echem dokoła. Po północy powróciliśmy do pałacu, zkąd pożegnawszy się ruszono do domu. Nazajutrz spałam do 10-téj, szczęściem jednak była to niedziela, zajęcia więc moje nic na tém nie ucierpiały.

Kończę już, całując cię serdecznie, życzliwa ci

Jadwiga.

Dnia 20 Sierpnia.

Muezę się podzielić z tobą bardzo radosną nowiną. Na trzeci dzień po owym koncercie przyjechał do nas dziadunio, który obecnie będzie z nami ciągle mieszkał. Dotąd bowiem przebywał u nas przez zimę, na wiosnę zaś wyjeżdżał w po- dróż po kraju i wracał dopiero przed Bożem Narodzeniem. Nie masz pojęcia ile ma wszelkiego rodzaju zbiorów. Ponie- waż zajmuje dwa pokoje, jeden więc z nich ogromny, bo aż o 3-h oknach, poświęcił na to *muzeum*. I rzeczywiście, jest to muzeum w całym znaczeniu tego wyrazu. Stoją tu szafy z różnemi próbkami wyrobów krajowych, wraz z opisem w ja- ki sposób takowe produkują i w jakich miejscowościach. Da- lej idą okazy z nauk przyrodzonych; są tu i wypchane ptaki

i zwierzęta i małe akwarium i owady i kwiaty i minerały; słowem niczego nie braknie.

Są tu jeszcze szafy biblioteczne, zapełnione najlepszemi podrózkami po kraju i rysunkami różnych miejscowości, fa- bryk, ubiorów i t. d. Na środku zaś pokoju, stoi ogromny stół, a na nim poustawiane małe drewniane figurki, przedsta- wiające typy ludowe, odpowiednio poubierane i książki, opisuj-ące zwyczaje i podania krajowe. Dziadunio sam to wszystko zebrał, uzupełnił opisy i ułożył we wzorowym porządku. Nie wychodząc z tego pokoju poznać można i królestwo i księstwo i Litwę i wszystkie inne prowincje, jakby się je naocznie wi- działo. A jakie to wszystko zajmujące, pouczające, ile tu do- brych rzeczy można się dowiedzieć, a zresztą toć to nasze na- rodowe. Musisz do nas przyjechać na przyszłe lato, aby sko- rzystać z nagromadzonych skarbów. Dziadunio sam to usta- wiał, wzywając tylko mnie do pomocy. Byłam uszczęśliwiona z zaszczytu, jakiego dostąpiłam, usiłowałam więc jaknajlepiej wywiązać się z zadania, co chwała Bogu dosyć mi się udało. Dziadunio bowiem, widząc z jakim poszanowaniem, obchodzę się z jego zbiorami, darował mi swoje notatki, których ma dwa egzemplarze. Będziemy je wspólnie czytać, dobrze Ma- niu? Sąsiedzi nasi, gdy się dowiedzieli o przybyciu dziadu- nia, tłumnie do nas zjechali i tak się zachwycili wspaniałém muzeum, że ułożono, iż co tydzień będzie dziadunio miewać rodzaj odczytów o tém wszystkiém, co kiedykolwiek widział, czytał i słyszał o kraju. Tym sposobem poznają dobrze ro- dzinną swą ziemię. Żal mi tylko, że ja z tych pogadanek, nie będę mogła korzystać. Obiecuję sobie jednak, że jak tylko powrócę do domu na zawsze, to wszystkie te dzieła przewer- tuję od *a* do *z*. Tymczasem zaś, chodzę co dzień z robotą do muzeum, a dziadunio opowiada mi swoje podróże. Mam ochotę dłużej pogawędzić, ale tak jestem śpiąca, że pióro wy- pada mi z ręki.

Całuję cię więc serdecznie,

kochająca cię Jadzia.

Dnia 28 Sierpnia.

Otóż i ostatni list jaki do ciebie piszę, za kilka dni znów się zobaczymy, aby wspólnie zasiąść na jednéj ławce. Waka- cye zbiegły mi szybko, lecz jak odmiennie od poprzednich! Dawniej przyjechawszy do domu, biegałam tylko po ogrodzie, bawiąc się nieustannie, dziś jużby mię to znudziło. (Mama nie mogła pierwéj zacząć ze mną inaczej postępować, ze wzglę- du na moje kuzynki, które tu w lecie bawiły, pociągając mię na swoją stronę). Wszystko to winnam rodzicom i dziadu- niowi, to też co dzień goręcój, modłę się za nich do Boga, aby im za mnie sownie wynagrodził. Wczoraj miałam osta- tnią lekcją w szkółce; w obecności dziadunia i rodziców, od- był się egzamin. Dzieci czytały wcale niezłe, umiały dosko- nale pacierz i katechizm, a starsze odpowiadały na zapytania z historii świętéj, tabliczki mnożenia i odśpiewały kilka po- bożnych pieśni, których je nauczyłam. Rezultat więc wcale dobry. Przytém nauczyły się porządku, bo musiały przycho- dzić umyte, uczesane i w całym, a czystém ubraniu. Każde- mu dałam po 2 książeczek Promyka które kupiłam za własne pieniądze (z gospodarstwa) i obiecałam, że gdy do Bożego Narodzenia skorzystają jeszcze coś więcéj z otrzymanych ksią- żeczek, to dostaną choinkę. Następnie wzięłam się do mego gospodarstwa osobistego. Sprzedałam prosię, a natomiast kupiłam drugie malutkie, zbyłam resztę warzywa, jaj, miodu, sera, masła, pozbierałam niektóre nasiona i podopełniałam zielniki, dzisiaj zaś pakuję się do drogi, bo po jutrze wyjeżdżam. Pieniądze zebrane rozdzieliłam na dwie połowy: jednę złoży- łam pod imieniem Jadwigi K. na najbiedniejszą uczennicę, a za drugą kupiłam dzieła Kochanowskiego, chcę bowiem ze- brać*sobie bibliotekę.

Kończę już pisać bo mię dziadunio woła na ostatnią po- dróż po muzeum.

Do widzenia więc za 3 dni.

Jadwiga.

KAROL KURPIŃSKI.

Ktokolwiek dziś z naszych czytelników siada do fortepianu, aby rozpocząć nudną, a tyle w przyszłości przyjemną naukę muzyki, nie pomyśli nawet, jak te początki były dawniej uciążliwe. Prababki nasze siadając do staroświeckich szpinetów i *kławkordów*, nie miały ku temu prawie żadnych drukowanych wskazówek. Nauka prowadzona była na pamięć, według zdolności ucznia i umiejętności nauczyciela. Krótka klawiatura składająca się z pięciu oktaw nie pozwalała też popisywać się ze świetnymi kompozycjami a i utwory przeznaczone do gry salonowej ograniczały się na skromnych piosenkach, wziętych z obcych motywów. Wtedy bowiem,

księgę wielkości arkusza, oprawną w szaro zielony papier, a zatytułowaną: Szkoła na fortepian Karola Kurpińskiego.

Zamieszczony na dzisiejszym obrazku Kurpiński jest kompozytorem owej szkoły. Urodził on się r. 1785 w poznańskim we wsi Włoszkowice, gdzie ojciec jego był organistą i syna w tym samym kształcił kierunku, chcąc żeby także skromne miejsce po nim odziedziczył. Nie potrzebował czekać długo na tę godność młody Karol, bo już w dwunastym roku został mianowany organistą w Sarnowie, pod miastem Rawiczem także w poznańskim. Dwunastoletni organista byłby może zagrzebał swoje wysokie zdolności na tej posadzie, gdyby go wuj, będący wolonczelistą na dworze Feliksa Polanowskiego w Moszkowie w Galicyi, nie umieścił w nadwornej muzyce tamecznej.



Karol Kurpiński.

jak swojej szkoły, ułożonej dla nauki gry na fortepianie, tak i kompozytorów nie było. Jeżeli zaś zabrzmiała nuta z ojczytych pieśni, to ją chyba uchwyciło ucho tak, jak chwyta szum drzew wśród lasu, a zręczne paluszki powtórzyły tę piosenkę która w głębi serca została.

Takimi środkami przy nauce muzyki rozporządzano aż do Karola Kurpińskiego, który miłując muzykę, chciał ją rozpowszechnić i ułożył szkołę na fortepian, aby młodzież miała na czem się kształcić. Dziś rozkładają przed nami szkołę na pięknym papierze, o wyraźnym druku i błyszcząco czarnych nutach, lecz gdyby się czytelnicy zapytali babuni, ojca lub też poważniejszej mamy, toby im z pewnością powiedzieli, że szkoła na której się uczyli, była kształtu podłużnego, na szarym papierze, z blado i dość zamazano wyglądającymi nutami. Zresztą, gdyby nawet kto się tak na dobre uwziął, to pod stosami nut nowych znalazłby może jeszcze

Znakomite zdolności Karola zwróciły uwagę bogatego pana; zabierał go więc często do Lwowa, gdzie młody muzyk usłyszał po raz pierwszy operę i znakomite dzieła nieśmielnego Mozarta, niemieckiego kompozytora. Słyszac taką muzykę sam się kształcił, sam nad sobą pracował; bo ani fundusów na opłacenie lekcyi, ani też i nauczycieli nie było. I oto wkrótce dostał się jako nauczyciel fortepianu do barona Rastawieckiego, a w r. 1810 mianowany został dyrektorem opery w Warszawie.

Nie myślmy jednakże, żeby ten urząd był tak łatwym do spełnienia. Zawsze przedstawia on wiele trudności, a dopieroż wtedy, kiedy nie miał kto śpiewać. Wielkie utwory niemieckich i włoskich mistrzów potrzebowały sił nie lada, a personel opery ówczesnej był tak skromny, że niepodobna było się rzucić na wykonanie jakiegoś dzieła. Kurpiński chcąc temu zaradzić, począł pisać melodramaty stosowne do

sił ówczesnych i zaraz w rok po objęciu posady dyrektora napisał i wystawił melodramat. „Obleżenie Gdańska”, a później: „Marcinową z Dunaja”. Po tych dwóch utworach przyjętych przychylnie, zaczął pisać opery, a za jedną z nich pod tytułem: „Zamek na Czorsztynie czyli Bojomir i Wanda”, uczczony został złotym medalem. Kurpiński może nam być przykładem, jak własną pracą i wytrwałością dochodzi się do pewnej umiejętności w obranym raz zawodzie. Dziś już utworów jego nie przedstawiają; czasem tylko zabrzmiał wyjątek z której opery, kompozytor zmarł jeszcze 1857 roku, lecz pozostawił po sobie wspomnienie w sercach miłujących muzykę. Gdyby nie jego praca nad sceną i operą, nie mielibyśmy jej obecnie w Warszawie; a gdyby nie szkoła Kurpińskiego nie mielibyśmy dziś tak dokładnych wskazówek na fortepian, bo do wszystkiego ktoś pierwszy dać musi początek.

Z. Morawska.

DORCIA,

powieść przez Maryą Świdorską.

(Dalszy ciąg.)

— Łaskawa pani — mawiał czasami w dyspacie z elegancką damą — dumny jestem z tego, że moi przodkowie przed kilku wiekami bili Niemców i Tatarów, szanuję swój klejnot herbowy i nie oddałbym go może za miliony, ale swoją drogą i tym, których ojcowie za plugiem chodzą, nie bronię prawa do oświaty i dobrobytu. Jedno słońce nam wszystkim świeci, jedna ziemia nas karmi — tak to już Pan Bóg zrządził.

— Wcale nie jedno... — zapędziła się w zapale przeciwniczka, ale powstrzymując się w porę, dodała: — Już to dla mnie nadewszystko dobre urodzenie i w tych pojęciach moje dzieci wychowuję, a strzegę je, jak od ognia, od tych waszych nowoczesnych rozumów. — (To ostatnie znać było na Herminii i Arturku; co zaś do antenatów pani Bondaszowieckiej, złośliwi twierdzili, że ich świetność nie sięgała wcale wieków dawniejszych, co zresztą nikomu ujmy nie przynosi, jeżeli się do tego przyznać nie wstydzą.)

Z wiosną Dorcia nasza wyruszyła do Warszawy, zabierając z sobą Stefanka, którego w szkole ogrodniczej umieściła, obmyśliwszy mu prócz tego parę godzin wieczornej nauki w innych przedmiotach. Chłopiec pracował z ochotą, a łącząc zajęcia fizyczne z umysłowem, nigdy się nie czuł znużonym ani przygnębionym. Ona sama, kształcąc się również w ogrodnictwie i pszczelnictwie, zimową porą uczęszczała do szpitali i domów zdrowia, wprawiając się pod opieką zacnego lekarza, do którego miała listy polecające, w pielęgnowaniu chorych. Tak przeszło dwa lata i pomimo wielkiej oszczędności, mało już pozostało rodzeństwu z fundusiku panny Michaliny. Pan Malicki miał zamiar dopomagać w wychowaniu Stefanka i przesłał na początek kwotę, która na półrocze całe wystarczyła, ale tymczasem straszliwy pożar zniszczył w Poradowie wszystkie budynki gospodarskie, niestety! nie ubezpieczone, gdyż pan Malicki nie dał się nakłonić do tej „nowości”. Interesa państwa Malickich wiele na tém ucierpiały, ale gdy Dorcia spróbowała w delikatny sposób zwrócić to, co nazywała pożyczką sobie udzieloną, została sfukana listownie i nie śmiała się już odezwać. Otrzymywała od czasu do czasu listy od Melci, donoszące jej o tém, co się w Poradowie działo, a także od panny Nowostawskiej, która już była do domu powróciła; przez parę miesięcy jednak nastąpiła przerwa w korespondencji. Było to w czasie drugiej zimy, jaką Dorcia w Warszawie spędzała. Wracała właśnie z lecznicy do mieszkanka swego, aż na Koszyki, (za miastem), gdy na ulicy usłyszała imię swe głośno wymówione; stanęła jak wryta i — nagle uczyła na swém ramieniu czyjąś rączkę, w zgrabną rękawiczkę obciśniętą.

— Czyż być może! To pani, kochana panno Melciu!
— Czemużby nie! Czy to tylko tobie, moja pani, wolno Warszawiankę udawać?... Ale doprawdy, moja Dorciu, że cię ledwie poznałam: tak się zrobiłaś szykowna i elegancka!

— Niech pani sobie ze mnie nie żartuje, zawsze jestem tą samą, skromną Dorotką, tylko w wiejskim stroju tu się pokazywać nie mogę, boby się za mną oglądano, ale spodziewam się kiedyś wrócić do niego.

— Wejdz-no ze mną do magazynu tu obok, gdzie zostawiłam ciocię, żeby za tobą wybiedz; pomówimy trochę!

— Cioteczko! — zwróciła się do poważnej damy, zajętej wybieraniem rozmaitych włóczek — przedstawiam ciocię tę sławną Dorcię, o której już ciotunia odemnie się nasłuchiwała.

— Ale kiedyż pani tu przyjechała? — spytała Dorotka — z kim? na jak długo?

— Jakaś ty ciekawa! Chcesz od razu wszystko wiedzieć. Przyjechałam wczoraj, więc nie miałam czasu jeszcze ciebie odszukać; odwozła mnie, wyobraź sobie... panna Pichon, a siedzieć tu będę dopóki się nie nauczę robić ślicznych kwiatów. Mnóstwo mam pięknych projektów, ale o tém dowiesz się stopniowo. Jutro niedziela, więc pewnie i pszczółom, i kwiatom, i chorym swoim dasz pokój i przyjdiesz do nas, do cioci, na Nowy-Świat N-r 70; prawda, cioteczko, że można Dorcię zaprosić?

— I owszem, bardzo mi będzie przyjemnie — ozwała się pani M., daleka kuzynka pani Malickiej, która mieszkając sama w Warszawie chętnie ugościła Melunię.

Nazajutrz rzeczywiście Dorcia, ubrana w skromną ale gustowną, brązową sukienkę, zjawiła się u Meluni, która jej zaczęła opowiadać, jak rodzice mają wiele kłopotów z interesami i utrapień z Mundziem, nie chcącym się uczyć ani dobrze postępować.

— Otóż, moja droga — ciągnęła dalej — postanowiłam spróbować, czy mi się nie uda zrobić tak, żebym nadal ja przynajmniej nic rodziców nie kosztowała. Chcę się wydoskonalić przez zimę w robieniu kwiatów, a potem wyrabiać ich mnóstwo dla naszej okolicy: będą brzydsze i piękniejsze, a pewną jestem, że znajdę odbył zamiast tych potwornych, które się rozchodzą po małych miasteczkach. Mateczka z początku się krzywiła na mój projekt, ale, jak zaczęłam prosić i przekładać, a Tolcia mi dopomogła i ojczulek słówko wtrącił, udało się wreszcie. Dumną jestem zawczasu z tego, że kiedyś i ja na coś przydać się będę mogła. Zdaje mi się także — dodała ciszej — że ciocia Misia byłaby z tego zadowolona.

Dorcia patrzyła z upodobaniem w ożywioną i uśmiechniętą twarzyczkę Meluni; owe straszliwe dzioby, co prawda, zmniejszyły się znacznie i Melcię naszą śmiało nazwać można było ładną panienką, a tém ładniejszą, że ona wcale o tém nie myślała teraz. Rozumne a żywe te oczy wskazywały, że główka czém inném zajęta, niż sukienkami i projektami zabaw rozmaitych, a ruchy zręczne i żwawe dawały poznać, że Melcia nie była już tym dawniejszym leniuszkiem, ociągającym się wstać z kanapki. Nikt może nie uznawał tych pomyslnych zmian tak serdecznie, jak ojciec, znajdujący w swój jedynaczce pociechę i osłodę wszelkich zmartwień.

Zbliżał się już kres pobytu Dorci w Warszawie, a przygotowując się do powrotu napisała z prośbą o wynajęcie dla niej rodzinnej chatki w Nowostawce, gdzie zamieszkać pragnęła. Stefanka zostawiała w mieście, by się dłużej uczył, a znalazła też dlań dobrego opiekuna w osobie zacnego profesora Łuczycza. Był to zapalony przyrodnik i lubownik kwiatów, co mu jednak nie przeszkadzało i ludzi kochać; podobowały mu się niezmiernie poczciwe plany Dorci, chcącjej wrócić w rodzinne strony i tamże osiedlić brata; obiecał też zająć się serdecznie chłopakiem, który prócz tego miał się uczyć stolarstwa.

Długoby trzeba opowiadać, jak Dorotka przyjechała do Nowostawki, z jakim zdziwieniem witali ją dawniejsi sąsiedzi i sąsiadki, jak się z niedowierzaniem przypatrywali, gdy młoda gosposia, wynajawszy kawał gruntu, zabrała się do zakła-

dania ogrodu, jak wreszcie, doświadczwszy trafności jój rad, udawali się z zaufaniem w ehorobie do młodej lekarki, znoząc przez wdzięczność jaja, masełko i inne wiktuały. Wolimy natomiast wybrać się w odwiedziny do naszej Dorotki, wraz z Poradowskim towarzystwem, które na wiosnę do Nowostawki przybyło. Śliczny dzień majowy, ptaszki wyciewują w gajku ponad rzeczką, aż się serce raduje i trawka zielona, jak cudny kobierzec ścięła się w koło Dorcinęj zagrody. Ale nie poznalibyśmy teraz owęj chatki, zkąd przed dziesięciu laty wybiegła z dzbankiem smutna dziewczeczka: przybył ganieczek dzikiem winem opleciony, a do okien wspinają się krzaki róż, okryte właśnie rozkwitającymi pączkami. Pod lipą, starą naszą znajomą, zgrabne ławeczki (arcydzieło Stefanka, który lato przeszłe u siostry spędził) otaczają stół okrągły, w tój chwili grubym ale bieluchnym obrusem przykryty.

— Przyniescie już chleb i masełko, Marcinowa — woła krzątając się wesoło Dorcia — tylko co nie widać jak przyjdą, a potem przyniesiecie mleko kwaśne z piwnicy, z tą większą bładyszka, wiece!

A w tój chwili właśnie na zielonej murawie ukazała się drużyna dworska: naprzód śpieszy Melunia w dużym słomianym kapeluszu i białej sukience, rozmawiając wesoło z Tolicą, która podała ramię pani Malickiej; pan Malicki znów prowadził panią Nowostawską. Całe towarzystwo zatrzymało się na chwilę, przypatrując się z daleka ślicznemu widoczkowi i młodej gosposi, krzątającej się wśród zagrody swojej.

— Ktoby się spodziewał, że nas Dorcia u siebie przyjmować będzie! — ozwał się pan Malicki, a gosposia stała już u bramki, witając radośnie gości.

Po chwili wszyscy siedzieli pod lipą przy smacznym podwieczorku, smarując żółciuchne masło na razowy, ale wybornie upieczony chleb.

— To już Marcinowej zasługa — mówiła z uśmiechem Dorcia — ten chleb, który państwu łaskawym smakuje; ale za miesiąc i ja mogłabym się pochwalić moimi wybornymi poziomkami miesięcznemi.

— Jakże ci idzie z ogrodem? — spytał pan Malicki — dziwy słyszałem o wybornych owocach, ale to chyba masz jaką różczkę czarnoksiężką, że to wszystko tak prędko powyrastało.

— Ja też owoców nie mam jeszcze chociaż wisienek spodziewam się na przyszły rok, jak Bóg pozwoli; ale jagody wyborne rzeczywiście. Mam poziomki czerwone i białe, truskawki ananasowe, agrest przepyszny, maliny i porzeczki; myślę nawet, że zrobię fortunę na konfiturach, bo poziomkowe w przeszłym roku świetnie się sprzedawały. Muszę państwa oprowadzić po moim ogrodzie; przez dwa lata niewiele zrobić się dało, ale teraz, gdy mi Stefanek do pomocy przybędzie, dziwy będziem wyrabiać!

— Ależ bo to z naszej Dorci dzielna dziewczeczka — ozwała się pani Nowostawska — wszystkiemu daje radę. W ogrodzie gospodaruje aż miło, u mnie pasieką zarządza i u siebie myśli zakładać ule Dzierżonowskie, leczy chorych po wsi; sprzedaje fance i konfitury, szczerpi drzewka, suszy zioła, a zimową porą zbiera gromadkę dziewcząt i uczy je szyć, opowiadając przytém różne ciekawe rzeczy. Nietylko nasza wieś ale i sąsiednie wierzą w nią i zbiegają się do niej po radę: ci dostają nasiona i fance, ci znów ziołka i maści, inni dają rzeczy do szycia. Najwięcej im się to podoba, że Dusia prawie po wiejsku się ubiera i żyje z nimi, jak ze swoimi; czy uwierzycie, że mniejszą nawet daleko piją od kiedy ona bywa na chrzcinach i weselach.

Zawstydzona temi pochwałami Dorcia prosiła, czyby goście nie zechcieli zwiedzić jój małego gospodarstwa, a gdy stanęła przed nimi, wsparta jedną ręką o stół, wszyscy się jój z upodobaniem przyglądali: dwa długie warkocze spuszczone (w czasie roboty zawijała je około głowy, żeby nie przeszkadzały) nadawały jój świeżęj, choć opalonej twarzyczce młodszy jeszcze pozór, gorsecik, fałdzista, krótka spódniczka i szeroki biały fartuszek, rysowały zgrabnie jój figurkę, pa-

znocie nawet starannie miała obcięte u rąk kształtnych, chociaż pracę na nich znać było.

(d. n).

Rozwiązanie zagadki konkursowej.

Na zagadkę konkursową zamieszczoną w Nr-ze 23-cim Pisma naszego, przyszło bardzo mało odpowiedzi. Uwzględniamy to jednak, bo latem każdy woli zabawić się na świeżem powietrzu, aniżeli pisać. Że zaś termin upływa z miesiącem Sierpniem, czekać nie możemy. Sąd redakcyi orzekł za najlepsze rozwiązanie trzynastoletniej Makolągwy, przyznając jój książkę pod tyt: „*Nasi znajomi*”, przez Z. Morawską.

SEBASTYAN KLONOWICZ.

Sebastyan Fabian Klonowicz, urodzony w Sulmierzycach, roku 1551, w miasteczku leżącym w dawnym województwie kaliskim, należy do sławniejszych poetów polskich, w końcu XVI stulecia. Ojciec jego był wójtem w spomnianem miasteczku, a Klonowicz kształcił się w akademii krakowskiej, gdzie otrzymał stopień doktora filozofii i magistra nauk wyzwoionych.

W roku 1576 udał się do Lwowa, gdzie sprawował urząd przy tamecznym magistracie. Korzystając z chwil wolnych, zwiedził wiele malowniczych okolic Czerwonéj Rusi i opisał je po łacinie, w poemacie „*Roxolania*”. Przetłumaczył ten poemat na język polski, Władysław Syrokomla.

Klonowicz przybywszy do Lublina, wysoką swą nauką, prawością charakteru i zdolnościami poetyckimi, zyskał zaufanie współobywateli, którzy go obrali rajcą dożywotnim.

W tym czasie żył opat sieciechowski, Józef Wereszczyński, biskup kijowski, mąż sławny jako kapłan, a także i na polu naukowym. Znał on osobiście Klonowicza i wysoko go cenił; dla tego też poeta długo bawił w klastorze sieciechowskim.

Wereszczyński, pan zamożny, obdarował Klonowicza wioską, to polepszyło byt jego materialny i pozwoliło mu oddawać się swobodnie pracom literackim. Był też wójtem, w dobrach Benedyktynów sieciechowskich, a jeżdżąc za ich sprawami, szczęśliwą myślą wiedziony, wsiadł na statek, którym biskup wysyłał zboże Wisłą do Gdańska, pragnąc poznać wybrzeża tój wielkiej rzeki. Znalazł się odrazu w towarzystwie dzielnych flisów krakowskich, patrzył na świat sobie nieznanym, a mogący umysł poety zachwycić i tój to przejażdżce zawdzięczamy poemat: „*Flis, czyli spuszczenie statków Wisłą i innemi rzekami, do niej wpadającemi, w roku 1595*”.

Klonowicz płynąc, w słuchiwał się w mowę flisaków, tak odmienną od zwyczajnej polskiej mowy, a którą sobie ten lud sam utworzył; bo tak np.: Nazywają oni bociana świętym Wojciechem, a Wisłę Białą-wodą *).

Potém opisywał poeta w swym Flisie wieś i miasta leżące nad Wisłą, malownicze jój brzegi i obyczaje flisaków; nie zapominał także o rozmaitych podaniach przywiązanych do niektórych okolic Wisły i opisuje je w Flisie.

Powróciwszy z tój wodnej wycieczki, Klonowicz osiadł na stałe w Lublinie, gdzie miał urząd płatny. Śmierć Jana Kochanowskiego uczuł bardzo, napisał nawet Żale nagrobne po jego śmierci. Odtąd źle się działo Klonowiczowi. Ożenił się z kobietą marnotrawną, która połowę majątku jego strwończyła; Klonowicz posiadał wtedy: wioskę, kamienicę w Lublinie i urząd.

Opuszczony od żony, zakończył życie swoje w szpitalu św. Łazarza, w Lublinie 5-go Stycznia 1608 roku. Krewny jego Sebastyan Kajek, wystawił mu skromny nagrobek i dopiero w roku 1662 towarzystwo poznańskie, wystawiło mu piękny pomnik żelazny, przed kościołem w Sulmierzycach, ze składek publicznych.

* *Biała-woda* jest bardzo starożytną nazwą Wisły. (Prz. red).

Na bocznych ścianach nagrobka są wypisane tytuły jego utworów, jakoto: Flis, Worek Judaszowy, Roxolania, Wiktorya Deorum i Żale nagrobne.

Klonowicz był mężem głębokiej nauki, mówił wieloma językami i miał prawdziwe zdolności poetyckie. Chociaż co do gładkości wierszy i harmonii nie można go równać z Kochanowskim, okolice kraju jednak opisywał bardzo malowniczo, a satyry jego, Worek Judaszowy i Wiktorya Deorum są bardzo udatne.

Pomimo swych zdolności poetyckich, dla swój prawdomówności nie był lubiany od swych współziomków.

W naszych czasach uczczono jego pamięć dwoma poematami: jeden jest pióra Seweryny Duchinińskiej, a drugi Władysława Syrokomli.

Makolągwa.

Musimy też nadmienić, jeszcze nie wymieniając nazwiska autora, gdyż czynimy to jedynie dla wskazania mu jak niewłaściwie postąpił, że jedno z przysłanych nam rozwiązań było dosłownie przepisane z Encyklopedyi powszechniej.

SZARADA.

(Dla Teci z Gra...dowa od córki Jadźwingów z Podlasia).

Pierwsza i trzecia na życia lata
Mieszkaniem tego, co zrzekł się świata.
Drugą i trzecią, kto zgadnąć zdoła,
Pozna w niej wyrok głowy Kościoła.
Wszystka — jako przyprawa użyta,
Do wielu potraw jest wymienita.

Jadźwinga z Podlasia będzie bardzo rada,
Gdy się Teci z Gra...dowa podoba szarada,
Bo dla niej ją poświęca, dla niej ją składała,
Choć tylko ze słyszenia Teciunię poznała.

Łamigłówka głoskowa.

1. Imię mężkie.
2. Posiadłość francuzka w Afryce.
3. Miasto na Wołyniu.
4. Miasto powiatowe w gub. pskowskiej.
5. Kraj w Azji.
6. Rzeka w Afryce.

Zastąpić kropki literami. Początkowe litery odczytane od góry do dołu utworzą imię, a końcowe tak samo odczytane nazwisko kronikarza polskiego z XVI wieku.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 33-go.

Prozy i poezyi:

NAD KOŁYSKĄ DZIEWECZKI.

Gdy wyrośniesz o dziecię!
Niech twa dusza uplecie,
Wianek cichych cnót;

Niech miłości twój władza,
Bratnie serca sprowadza
W harmonijny spłot.

Komu gwiazdy zagasną,
Ty nadzieją tchnij własną.
W jego życia noc,
Czysta wiara w twém łonie,
Jak kaganiec niech płonie.
I twą skrzepia moc.

Niech jak skrzydło anioła,
Kwiat rozsiewa dokoła
Twoja cicha dłoń,
Świat wciąż cierpi i boli,
Ty ku wszelkiej niedoli
Chętnie ucho skłóń.

Pieśń, modlitwa i praca,
Niech ślad znaczą twój drogi,
Przy nich zorza uzłaca,
Zakres życia ubogi.

A gdy gwiazdę natchnienia
Bóg ci ześle z swój łaski,
Niech pokora ocienia
Jój promienne odbłaski.

Rozgłoś, działem mąż bierze,
Niech mu w chwale dni płyną,
Nam w miłości i wierze,
Iść zieloną doliną.

Niech nas wiedzie w pomroczy
Powinności nie żywa,
Czyste wody zdroj toczy,
Póki w cieniu przepływa!

Seweryna Duchinińska.

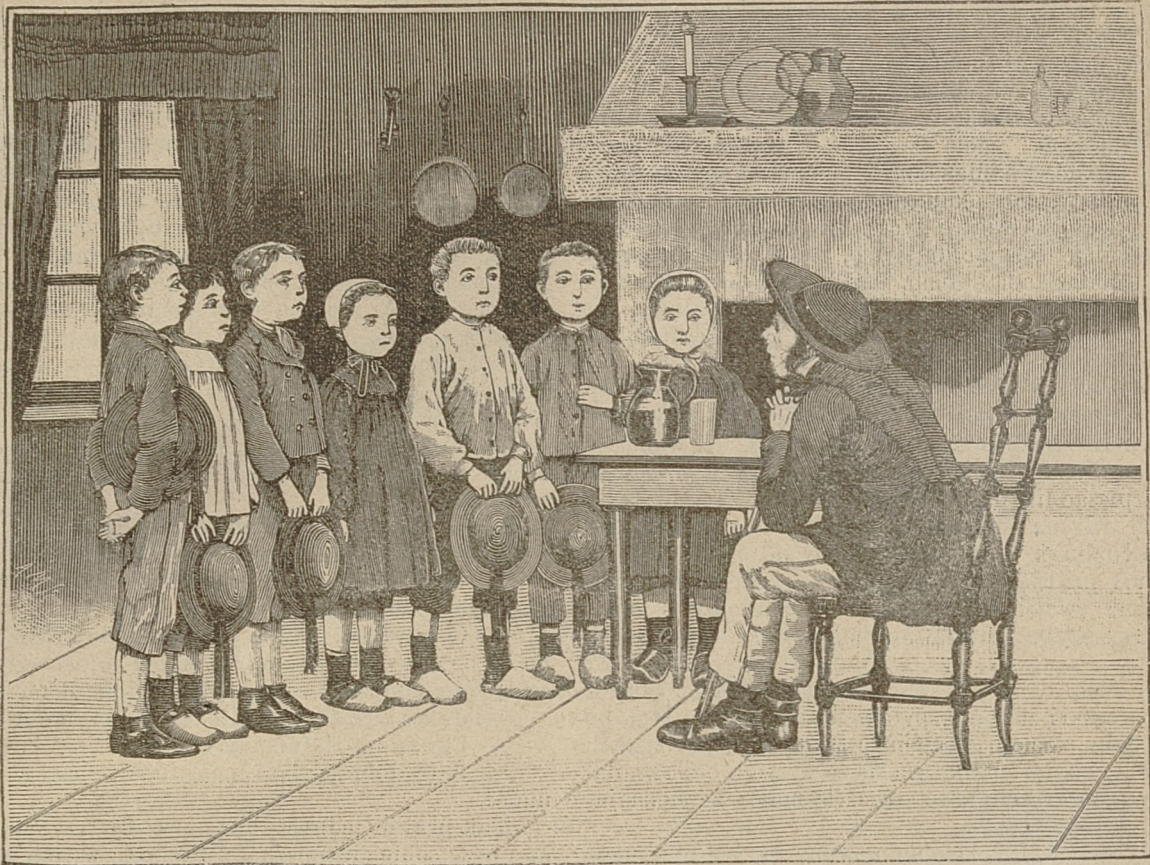
Łamigłówki w kwadraciku:

R	O	M	A
O	M	A	R
M	A	R	A
A	R	A	M

DO CZYTELNIKÓW.

Wszystkim korespondentom i korespondentkom naszym dziękujemy za pamięć, odpowiedzi na ich liściki wkrótce zamieścimy. Upewniamy, że każdy liścik jest nam miły, żadnego nie pominiemy, chcąc zawsze zachować jaknajserdeczniejszy stosunek; prosimy tylko o troszkę cierpliwości.

TREŚĆ: Przyjaciół nosorożca (z drzew.). — O listach i tłómaczeniach A. E. Odyńca (c. d.) — Wakacje Jadwini przez Arę. — Karol Kurpiński (z drzew.). — Dorcia, powieść przez Maryą Świdorską (c. d.) — Rozwiązanie zagadki konkursowej. Łamigłówki i rozwiązania. W Dodatku: Jak to bywa w naszej szkole wiersz (z drzew.) — Trzy Michalinki. — Lekko-myślnie dziatki. — Co się odwlecze, to nie uciecze komedyjka p. Maryą Pomorską. — Łamigłówka, rozwiązanie. Dodatek książkowy: Moufflou nowella Ouidy w przekładzie Maryi Nowickiej. Brat i siostra, powieść z niemieckiego.



Dzieci w szkole.

JAK TO BYWA W NASZĘJ SZKOLE!

Już to w szkole to nie nudno.
 Bo tak brzęczy jakby w ulu!
 Czasem to się uczyć trudno,
 Czasem się i syknie z bólu,
 Gdy kolega pięścią zmierzy!
 Pełno gwaru; jakie śmiechy!
 To kto nie był, nie uwierzy,
 I nie zazna téj uciechy.
 Gdy staniemy prosto w rzędzie,
 Dalej czytać; jeden jąka!
 „Le-niu-cho-wi źle jest wszę-dzie,
 Drugi znów rachunki bąka,
 Trzeci pisze na tablicy,
 Czwarty kreśli jakieś koła,
 Inny słucha... na ulicy:
 „Pączki! jabłka!” baba woła.
 Zerknął jeden, patrzy drugi.
 Kiedy pauza? nie tak prędko!
 Nauczyciel wziął kij długi,
 Taki długi, jakby z wędką!
 I na mapie nim wskazuje
 Morza, rzeki, góry, kraje.
 A najstarszy z nas rysuje.
 Takie w szkole obyczajaj!
 Ho, ho, mamy my nie mało
 Do nauki w naszej szkole,
 Wiemy co się, kiedy, stało;
 Jakie były wojny, króle,
 I kto go za łeb wodził.

I kto kiedy szedł na szable,
 Kto w zapasy z wrogiem chodził,
 A kto z bitwy uciekł nagle.

Ho, ho, wiemy dużo rzeczy
 Wszystko wkłada się do głowy.
 Zawadyaków się też leczy
 Na lizusów sąd surowy!
 I leniuchów mieć nie chcemy
 A skoro się zdarzy jaki,
 Między siebie go weźmiemy
 I załatwim się z próżniaki.

Ho ho, u nas tak, mospanie!
 Koleżeńsko się trzymamy.
 Lat dwa u nas kto zostanie!
 Bo dwie klasy tylko mamy,
 Lecz bywają też i troski,
 Nie mało się człek nabiedzi!
 Te niemieckie, obce głoski
 Nad niemi się siedzi, siedzi,
 Ucząc słówka się po słowie,
 Nie żalując trudu, potu,
 By zostało coś tam w głowie.
 Z tą obczyzną jest kłopotu!
 No, lecz mamy i zabawy.

Ho, i różne są igraszki
 Gdy sprzątniemy wszystkie ławy,
 Tak skaczemy, jako ptaszki!
 Często się też wojna zbierze

Wszyscy w hełmach z szablą chodzą.
 Prościuteńko jak żołnierze.
 I na wroga chwacko godzą!
 Wtedy są i wojewody,
 Pułkownicy i hetmany!
 Jeden z drugim rwie w zawody
 I w wojenne idzie tany.
 A kiedy są imieniny
 Najstarszego profesora,
 Wtedy gęste mamy miny
 I od rana do wieczora
 Tylko szepty ciche w koło,
 Jak go uczcić, co darować!
 Każdy myśląc, marszczy czoło,
 By tajemnicę zachować!
 Aż nareszcie w święto owe
 Stoim wszyscy tak ordynkiem,
 Postrojeni w suknie nowe
 I językiem, jakby młynkiem
 Każdy miele, szybko miele...
 Wreszcie nawet milkną słowa
 A chociażby słów nie wiele
 Każdy wdzięczność w sercu chowa...
 Nauczyciel ze łzą w oku,
 Nie pamięta na swawolę,
 Tuli nas do swego boku.
 Ot tak bywa w naszej szkole.

TRZY MICHALINKI

CZYLI WIELKA NASZA TAJEMNICA.

Były to sobie dwie panienki, krewniaczki i obie nazywały się Michalinki, a to dla tego, że ich wspólna babcia także nosiła imię Michaliny. Miały też one i trzecią dalszą krewniaczkę, a tej ojciec nazywał się Michał, więc mama jej nazwała znowu córeczkę swoją od imienia ojca, Michalinką. Mamy tych trzech panienek znały się z sobą dawno i dobrze i bardzo się kochały, uczyły się razem na jednej i tej samej pensyi, gdy same były młodemi panienkami i później ciągle pisywały do siebie długie listy, gdy okoliczności zrzuciły, że musiały rozjechać się daleko w świat i żyć każda w innej stronie ze swą własną rodziną. Pisując do siebie, panie te często pisały oczywiście i o córeczkach swoich, każda rozповідаła krewnym i przyjaciółkom różne rzeczy o swojej Michalinie, ale jak to zwykle bywa, każda mama rada była tylko chwalić córeczkę, a o wadach jej zamilczeć.

Tym więc sposobem stała się taka dziwna rzecz niechcący zupełnie, że każda mama dawała swojej Michalinie za wzór dwie jej małe kuzyneczki, których nigdy nie widziała, tylko czytała o nich dużo w listach ich mateczek, a potem sama ta mama, pisząc list do tamtych mateczek, wstydziała się napisać, że jej własna Michalinka mniej jest grzeczna, niż tamte dwie Michalinki. Taki stosunek trwał bardzo długo, Michalinki miały już coś po siedm czy nawet ośm latek, a mamy ich w listach swoich nic a nic nie wspominały o nauce i przed pisaniem każda mówiła do swojej córki mniej więcej w te słowa:

— Wielką mam ochotę spytać cioteczek twoich, jak też uczą się ich córeczki? ale nie spytam i ani piszę o tém, bo cóżby było, gdyby ciocie nawzajem o twoją naukę w listach mnie zapytały? ... chyba spaliłabym się ze wstydu, odpowiadając na takie pytanie i wielkie to szczęście moje, że ciocie jakos dotąd o to nie pytały.

Tak mówiły trzy mamy, każda do swojej Michalinki, przez dosyć długi czas przy pisaniu listów i to z coraz większym smutkiem. W tém interesa tak się złożyły, że jedna z tych pań musiała przyjechać do drugiej, o czém dowiedziałwszy się z listów, trzecia mama zaraz napisała do tauntych w te słowa: „Kiedy tak, kiedy Józia musi zjechać do Basi, to i ja do was przyjadę, żeby się z wami zobaczyć i nacieszyć po tak długich latach oddalenia. Nie wiem tylko jak sobie poradzić z moją Michalinką, bo niespokojną byłabym o nią, zostawiwszy w domu na dłużej, zatem chyba będę musiała wziąć ją z sobą, ale nie wiem znowu, czy kłopotu nie sprawię Basi z dzieckiem trochę swawolnym przyjeżdżając”.

Przeczytawszy taki list, mama Basia tak odpisała: „Moja droga Kasiu! choćbyś miała sześć swawolnych dzieci, to proszę przyjeżdżaj z wszystkimi, bo i moja Michalinka swawoli trochę, wolę więc, że i twoja jest taka, to się za moją mniej wstydzisz; poproszę też Józia, aby swoją córeczkę także przywiozła, gdyż czas już, aby córki nasze poznały się i poprzyjaźniły tak, jak my się przyjaźnimy, albowiem przyjaźń szczerą jest jednym z największych skarbów człowieka”.

— No — rzecze mama Kasia po przeczytaniu tego listu — szczęście nasze, że Michalinka ciocie Basi jest choć trochę swawolna, to będę się mniej za moją wstydziała, ale jak sobie o nauce pomyślę, to zaraz czuję, że się rumienię...
I Michalinka, córeczka mamy Kasi, rumienić się zaczęła, słysząc te słowa i rada była uczyć się teraz gwałtownie, aby jak najwięcej umieć przy spotkaniu się z kuzyneczkami, które się pewno od dawna uczyły, ale zapóźno już było poprawiać się teraz, kiedy trzeba było za dwa dni wyjeżdżać. I wyjechano.

Takim sposobem trzy mamy, Kasia, Basia i Józia i ich trzy Michalinki, po długich listownych tylko stosunkach, zjechały się nareszcie i poznały osobiście. Zanim się zaś spotkały, każda mama mówiła do swojej córeczki:

— Gdybym mogła, wolałabym, abyś się nie poznawała z twemi kuzyneczkami, ale ponieważ tak się już stało, to proszę cię, bądźże ostrożną w rozmowie i w zabawie z temi pa-

nienkami, aby się nie wydała *pewna nasza tajemnica*, z którą łatwo mi było się nie wydać w listach, ale trudno będzie, gdy się osobiście poznacie, a wtedy i ja i ty chyba spłonimy ze wstydu.

Tak ze strachem wielkim i z jakąś smutną tajemnicą, w serduszkach, spotkały się nareszcie trzy Michalinki. Ich mamy, uściskawszy się i uściskawszy dziewczynki po sto razy, ułożyły zaraz, że aby je odróżnić, dopóki będą razem, jedna będzie całą Michalinką, a druga będzie bez *Mi* a trzecia będzie bez *cha* i śmiały się owe mamy i znowu ścisnęły się, a trzy Michalinki wytrzeszczały tylko oczki, bo z powodu owej *pewniej tajemnicy* nie rozumiały nawet, co to znaczy, że jedna będzie bez *Mi* a druga bez *cha*, aż im mamy wytłómaczyły, że dla odróżnienia trzech córek, będą wołać na jedną *Michalinka*, na drugą *Halinka*, a na trzecią *Linka*. Następnie, gdy trzy mamy sobą się zajęły, trzy panienki zaczęły także z sobą niby się bawić, ale ponieważ każda miała w duszy *pewną tajemnicę*, z którą pragnęła się ukryć, przeto rozmawiały z sobą tak ostrożnie, że z tej wielkiej ostrożności zachowywały się poważniej prawie, niż ich własne mamy. Zaczęły się tedy mamy dziwić swoim córeczkom, aż mama Basia rzecze:

— Może one się nudzą, Kasiu, oto jest prześliczna książka z obrazkami, niech twoja Linka czyta ją głośno swoim towarzyszkom.

— O, nie! — zawoła mama Kasia, rumieniąc się po uszy — niechaj czyta ją lepiej twoja Halinka...

— No, to najlepiej niech Michalinka czyta! — powie mama Basia, a mama Józia woła:

— O nie, nie! proszę, niech moja Michalinka nie czyta, bo... bo... — i wszystkie trzy mamy spłonawszy, jak trzy ponosowe róże, spojrzwały sobie w oczy, domyślając się czegoś.

— Jakto? czy twoja Michalinka czytać nie umie?

— Czy twoja Halinka jeszcze nie czyta?

— A to dobrze, bo i moja Linka niestety jeszcze nic nie umie!

Tak prawie jednocześnie zawołały trzy mamy zawstydzone i oczy sobie chusteczkami zakryły: wielka *pewna nasza tajemnica* wydała się więc w ten sposób. Trzy Michalinki nie wiedziały, gdzie oczy podziać ze wstydu, aż po namyśle i za radą swoich mateczek, Basi, Kasi i Józia, postanowiły zabrać się gwałtownie do nauki, i nagle ze wstydu, jak się do niej wspólnie wzięły, tak przez dwa tygodnie pobytu u ciocie Basi wyuczyły się wszystkie trzy czytać doskonale!

Lekkomyślnie dziatki.

Kazio i Anielka, dzieci zamożnych rodziców w mieście dużem mieszkających, żyli bardzo przyjemnie; mieli dużo książek i zabawek, ale najmilszą ze wszystkich był dla nich duży i piękny ogród, który do ich rodziców należał. Przepędzali oni w nim blisko połowę swego życia i tam im było najlepiej. Raz, gdy właśnie biegali wesoło po cienistym ogrodzie, dało się słyszeć wołanie z balkonu.

— Panno Aniello! panie Kazimierzu! proszę na podwieczorek!

Anielka chciała biedz natychmiast, jak to zwykle dobre posłuszną dziewczątka, ale Kazio zaraz powiedział:

— Poczekajno chwilę Anielciu, poco mamy jeść w pokoju, jeżeli możemy na świeżem powietrzu w ogrodzie, i to rzekłszy poskoczył prędko, i wkrótce wrócił niosąc podwieczorek na tacy. Na tej samej właśnie, na której Anielka lalkom podawała podwieczorki i śniadania, bo co obiadów, tych lalki najmniej lubiły. Kazio i Anielka zalogi usiąść do podwieczorku w altanie, albo na ławce którejś! owiek, bo przed ławkami stały przeciw stoliczki, ale im się to nie podobało, więc rozciągnawszy szal na trawie, siedli na nim. Nogi podłożywszy po turecku, tacę postawili w pośrodku, i dopiero jedli, z wielką jak utrzymywali wygodą.

— Jednakże — rzecze Kazio — jeszcze wygodniejby nam było, gdybyśmy mieli tu na tej naszej łączce, własną maleń-

ką altankę, w którejbyśmy byli zupełnie jak we własnym swoim domu.

— I gdzieby lalki spokojnie mieszkać mogły na lato! Nie tak jak w dużej altanie, gdzie Jan sprząając zawsze lalkom przeszkadzał, aż nareszcie wyrzec się musiały letniego mieszkania i teraz siedzą w murach, ledwo czasem na chwilę zę mną do ogrodu wychodząc, co przecie jest niezdrowo.

— To wychodź z niemi częściej.

— Tak, tobym musiała o nich ciągle się kłopotać a sama nie miałabym czasu poskakać swobodnie.

— A gdybyśmy tak mieli własną altankę, toby już Jan do niej ani zająztał ze swemi szcietkami i ścierekami, tyko na zimę przeprowadziłyby się lalki do domu. I mój koń mógłby chyba także stać w altance przy lalkach jak na stajni, bo przecie drewniany jest i z włosia i z wypchanej skórki, toby lalek nie podeptał, ani nie ukąsił.

— Zresztą możnaby mu stajnię oddzielną w połowie altanki wydzielić; twój koń miałby pół altanki na stajnię, i moje lalki miałyby drugą połowę na pałacyk letni. I koniowi przecie zdrowoby było jak lalkom.

— A zatem trzeba nam koniecznie mieć własną altankę, ale jakby też ją zrobić?

— Najlepiej pójść do ojca i poprosić, aby tu na łączce kazał nam zbudować malutką altankę, na pałacyk i na stajnię. — Tak postanowiwszy pobiegły dzieci z tą prośbą do ojca.

— Cóż znowu? czy mało macie altan w ogrodzie? — spytał.

— Tak, ale Jan wszędzie łązi, skurza, sprząta, ani koń ani lalka nie ma spokoju przy Janie, nam potrzeba maleńkiej własnej altanki, gdzieby Jan wcale nie zająztał.

— Wiecie co, jeżeli już koniecznie taką własność mieć chcecie, to najlepiej ją sobie zróbie sami.

— Altankę? a jakżebyśmy mogli ją zrobić?

— Rozmaicie. Moglibyście naprzykład, zasadzić jedna przy drugiej w koło te oto tyczki wysokie, które tam pod parkanem leżą i u samej góry zgiąć je ku sobie i razem związać, a przy każdej tyczce wsadzić w ziemię parę ziarn bujnego grochu; jak groch wyrośnie i w górę wespnie się po tyczkach to się robi z tego przepyszna zielona cienista altana, do której słońce ani zajązrzy, tylko deszcz mógłby zajązrzeć czasami, ale przecie koń ani lalki nie dostaną kataru.

— A wreszcie od czegoż są deszczochrony dla lalek i derki dla koni, mniejsza o deszcz na letnim mieszkaniu, bo do wszystkiego przyzwyczaić się należy, ale to najgorzej, że choćbyśmy i dziś jeszcze powsadzali w ziemię te tyczki i groch, to zanim on wyrośnie i wespnie się do góry, długo czekać trzeba będzie.

— No, oczywiście, nie wyrośnie przecie dziś ani jutro, ani nawet za tydzień nie wyrośnie do szczytu altanki.

— Tak?... o... kiedy tak, to ja dziękuję za taką altankę, na którą dopiero czekać potrzeba, aż ję się wyrosnąć podoba? Niech lepiej mój koń przestaje nadal na swojej stajni pod stołem w szkolnym pokoju!

— I moje lalki pewno będą wołały obejść się bez letniego mieszkania, które takich długich przygotowań wymaga! Oneby chciały, żeby to zaraz dziś można się wprowadzić, ale czekać nie lubią!

To powiedziawszy odbiegły dzieci skakać po ogrodzie. Tymczasem Franuś synek ogrodnika, słysząc całą tę rozmowę, zapragnął bardzo tęg altanki, o której dzieci mówiły; pobiegł więc w kącik ogrodu koło chatki swego ojca i tak zrobił z tyczkami i grochem jak pan opowiadał. W kilka tygodni później, wcale nie długo, dzieci przechodząc koło ogrodniczego domu, zaczęły krzyczeć z zachwytem na widok przeslicznej altanki obrzeżonej całkowicie przepyszny, długotrwałym grochem, już kwitnącym.

— Ojczel! ojczel! to Franuś ma taką śliczną altanę, a my nie mamy! — skarżyły się ze łzami. Ojciec Franusia zawołał, wypytał i tak do dzieci powiedział:

— Wytrwałość w zamysłach i praca,
Ludzi i narody wzbogaca,
Nie skarżcież na Franka więc wcale,
Bo on pracował wytrwale!

Co się odwlecze, to nie uciecze.

KOMEDYJKA W JEDNÉJ ODSŁONIE.

przez Maryą Pomorską.

(Scena przedstawia pokój na wsi; w pośrodku stół z przyborami do pisania).

OSOBY:

P. KWIECIŃSKA.

ADAŚ } jęj dzieci.
JANINKA }

LUDEKA, znajoma.

WALUŚ chłopak pokojowiec.

PAN POWOLNICKI.

Scena I-sza.

P. KWIECIŃSKA, ADAŚ I JANINKA.

P. KWIECIŃSKA (w ubraniu podróżnym).

No! dzieci moje drogie, żegnaj was na tydzień cały, bądźcież tylko grzeczne i uważne.

DZIECI (razem).

Jakto! mateczka wyjeżdża i gdzieżto?

P. KWIECIŃSKA.

Wczoraj otrzymałam telegram od cici, której już od wieków nie widziałam. Będzie ona przejazdem dni kilka bawić w Warszawie i chce się z mną widzieć koniecznie (słychać turkot) a oto już i konie przed gankiem.

(Dzieci rzucają się w jęj objęcia; Janinka żwawo, Adaś zaś bardzo powoli).

JANINKA.

Niech mamusia będzie spokojną o nas; będziemy się dobrze sprawiali.

P. KWIECIŃSKA (odchodzi do drzwi i znowu wraca).

Adasiu! pobiegnij dziecko moje, do bawialnego pokoju i przynieś mi parasolik, com go na konsolce przy lustrze zostawiła.

ADAŚ (powoli).

Dobrze mateczko! (idzie pomału, ale nie prosto do drzwi; zwraca się to na prawo, to na lewo i patrzy na ścianę i sufit).

JANINKA.

I czemuż tam się przypatrujesz, Adasiu, toż parasolik mamie prędko potrzebny, bo konie już przed gankiem.

ADAŚ (jak wyżej).

Zaraz, zaraz, ja bo widzisz patrzę, gdzie się ten pajak podział, co to wczoraj bujał na suficie.

JANINKA (chce iść sama).

Widzę, że już dziś mama nie będzie miała parasolika.

(Adaś prędkiej trochę wychodzi).

P. KWIECIŃSKA.

Janinko! idź, powiedz Ignacemu, aby więcę jak zwykle wziął owa dla koni, bo przeczuwam, że się spóźnię na pociąg, więc trzeba będzie drugiego czekać.

JANINKA.

Dobrze, mateczko (wybiega).

Scena II-ga.

P. KWIECIŃSKA, później JANINKA I WALUŚ.

PANI KWIECIŃSKA (siada i mówi do siebie, smutnie kiwając głową).

Jak mnie ten Adaś martwi swoją powolnością i roztargnieniem. Nie wiem, co się z nim zrobiło. Gdy był malutkim

jeszcze, było to żywe, jak iskra; ani na miejscu utrzymać i takie roztopne, miłe. A teraz nie mogę go poznać. Coraz bardziej brzydka wada w nim się rozwija i nie umiem temu zaradzić (*ogląda się na zegar*). Już kwadrans tu siedzę, a ręczę, że i za drugi, nie doczekam się go z parasolikiem (*stychać za sceną krzyki. Wpada zdyszany Waluś z parasolikiem, a za nim Janinka*).

JANINKA.

Już mówiłam o owsie Ignacemu.

P. KWIECIŃSKA.

To ty, Walusiu, przyniosłeś mi parasolik; a gdzie Adaś?

WALUŚ (*podaje go*).

A juści ja. Paniczby go i do jutra nie odszukał. Chodzi wedle wszystkich pokojów i tyło głowę do góry zadziera, jakby tam rychtyg na piecu gwiazd ponalepiano. Spotkał mnie w kredensie i mówi: Walek, a gdzie mamy parasolik? a ja jemu na to: co ja mogę wiedzieć; a tymczasem hyc! z kredensu i nim się panicz obejrzał, ja do salonu i za parasolik.

P. KWIECIŃSKA (*wstając*).

Bądź zdrowa, Janinko, a zwołaj mi, Walku, Adasia; niech wyjdzie na ganek jeszcze raz się ze mną pożegnać (*wychodzi, a za nią Janinka i Waluś, stychać za sceną wołanie: Adasiu, Adasiu i oddalający się turkot*).

Scena III-cia.

LUDKA, potem ADAŚ I JANINKA.

(*Przez jedne drzwi wchodzi Ludka na spacer ubrana, a przez drugie Adaś pomału, z ogromnym, zakurzoną parasolem, który trzyma oburącz przed sobą. Zamyślony, podsuwa się do Ludki i nie zważając na nią, oddaje go jej, mówiąc:*

ADAŚ.

Proszę, mateczko, znalazłem go nie w salonie, ale aż u starego Mateusza za drzwiami. To sobie dopiero wymyślił! mamin parasolik tam stawiać.

LUDKA (*zdziwiona, potem wybuchu śmiechem*).

Co! ja mateczka? i w dodatku taki ładny podarunek mam dostać. Dziwię się doprawdy, że go stary Mateusz już dawno na śmietnik nie wyrzucił, zamiast chować jeszcze za drzwiami.

ADAŚ (*z oburzeniem*).

Co? mamin parasolik na śmietniku ma się walać?

JANINKA (*wbiega*).

Adasiu, dla czego nie przyszedłeś pożegnać się z mamą, takżeśmy długo ciebie wołały (*spozstrzega parasol*). A to znów co nowego?

LUDKA.

To podarunek od Mateusza na wiązanie.

JANINKA (*spozstrzegając ją*).

Ach! daruj mi, droga Ludko, żem cię nie zobaczyła od razu, (*ściskają się*) ale taka byłam zakłopotana wyjazdem mamy, że i nie widziałam, jakieś przyszła. Adasiu, porzuc te niewłaściwe żarty i chodź się lepiej z nami zabawić.

ADAŚ (*zawsze powoli*).

Jakie żarty, ja idę do mamy, zanieść jej parasolik.

LUDKA.

Ha! ha! ha! panie Zamyśliński; toć już mama od niepa-miętnych czasów wyjechała; a deszcz teraz nie pada, aby taką jak to, frachtową budę, na osób 16 wozić ze sobą!

ADAŚ (*spozstrzegając pomyłkę, udarza się w czoło*).

I co też ja zrobiłem, a to dla tego, że tak wszyscy krzyczą nad uchem: a śpiesz, a leć, a biegnij, jakby się tu paliło. To człowiek i myśli nie połapie (*zawraca się i wychodzi*).

JANINKA.

Zdejmij kapelusz, Ludeczko, zapewne przyszłaś dziś na czas dłuższy? (*siadają obie na kanapce*).

LUDKA (*zdejmuje okrycie i kapelusz*).

O tak, na cały dzień, moja dobra Janinko, a przytém miałam i mały interesik. Pojutrze powracam już z wakacyi, na pensyą, a tu zadali mi kilka takich trudnych przykładów

z arytmetyki, że siedzę, siedzę nad niemi, i ani rusz. Umyśliłam więc poprosić Adasia, jako biegłego matematyka, choć marudę, aby mi je rozwiązał.

JANINKA.

Jakto, i chcesz je później podać za swoje własne, choć sama do tego ręki nie przyłożyłysz?

LUDKA.

Jakże możesz posądzać mię, Janinko, o rzecz tak nieładną; ja kłamstwem zawsze się brzydzę! A te przykłady odrobię sama; chcę tylko, aby mi Adaś trochę dopomógł i wytłómaczył.

JANINKA.

A, to co innego. Przepraszam cię, moja droga, że mi to nawet do głowy przyjść mogło.

LUDKA.

Wiesz, że nigdy, na nikogo długo gniewać się nie umiem. A otóż i nasz Archimedes! (*wchodzi Adaś*).

JANINKA.

Zbliź się do nas, kochany Adasiu, Ludka ma cię o coś prosić.

LUDKA.

To mała rzecz, nie obciąży zbyt mocno twój głowę; gdy przeciwnie dla mojej, to prawdziwy węzeł gordyjski.

ADAŚ (*po namyśle*).

Ręczę, że to o arytmetykę chodzi, bo to słaba strona panienek.

LUDKA.

Naprawdę, mógłbyś zostać prorokiem, tak doskonale myślisz moje zgadujesz, (*podaje mu książkę, wskazując na niej palcem zadania*). Ot te sześć zadań, nie chcą się za nic jakoś rozwiązać, chociaż prosiłam je o to grzecznie.

ADAŚ.

Dobrze, dobrze, zaraz to zrobię, tylko bądźcie łaskawe wyjść na chwilę, bo mi przeszkadzać będziecie; a do tego trzeba skupienia myśli.

PANIENKI (*razem*).

Naturalnie, naturalnie! (*wychodzą*).

(*d. c. n.*)

ZAGADKA (M. P.).

Malutkie, stabiutkie, a w domu panuje,
Choć słowa nie rzeknie, każdy myśl zgaduje,
We wszystkiem dogadza i spełnia życzenie;
Powiedzcie mi proszę, co to za stworzenie?

ROZWIĄZANIE DO N-ru 34-go.

Łamigłówki kryształowej:

	R	
	r	o
	k	
S	a	m
u		m
R	o	m
u		l
u		s
M	a	l
t		a
ł		u
k		
s		

PRZEŁOŻONA PENSYI WYŻSZEJ ŻEŃSKIEJ

MARYA MATUSZEWSKA

w Warszawie, przy ul. Leszno Nr. 28, zawiadamia, iż zapis uczennic odbywa się codziennie od 9-tój do 5-tój. Kurs nauk rozpocznie się 20 Sierpnia.

4—3